

E g i p t I z r a e l



Czas trwania naszej wyprawy: 17 stycznia – 2 luty 2010

Uczestniczyły 2 osoby: Asia i ja.

Katowice – Frankfurt/Menem – Kair – Giza – Luksor

Długo broniłem się przed wyjazdem do Egiptu, gdyż generalnie nie interesują mnie kraje, do których ściągają tabuny zorganizowanych turystów, no ale w końcu powiedziałem sobie: widziałeś już tyle przedziwnych rzeczy na tym świecie, a nie wiesz nawet jak wygląda "głupia" egipska piramida... Co prawda to prawda, raz kozie śmierć - jedziemy zatem do Egiptu. Żeby jednak uatrakcyjnić nieco nasz wyjazd postanowiliśmy z Asią, że spędzimy tydzień w Egipcie i tydzień w Izraelu. Z pewnością jest to zdecydowanie za mało czasu, żeby dokładnie poznać oba te kraje, ale w zupełności wystarcza na porządny odpoczynek i, jak się okazało, ucieczkę od głębokich mrozów, jakie zapanowały w Polsce.



Kair

A zima ogarnęła Europę dosłownie kilka dni przed naszym wyjazdem i to do tego stopnia, że we Frankfurcie śnieżyce sparaliżowały zarówno miasto, jak i port lotniczy. 200 odwołanych lotów i chaos nie do opisanego. Na szczęście trafiliśmy w przerwę między większymi opadami śniegu tak, że udało nam się bez żadnych przygód dotrzeć wieczorem do Kairu. Na lotnisku kupiliśmy wizę (15 USD), zmieniliśmy trochę pieniędzy (1 USD = 5,43 EGP) i lotniskową taksówką (80 EGP) kazaliśmy się zawieźć do Hostel Afryka. Już pierwsze zderzenie z egipskimi cenami uświadomiło nam, że nastąpił ich znaczący wzrost w stosunku do tego, co podaje przewodnik *Lonely Planet*. Za pokój z łazienką w Africa Hostel musieliśmy zapłacić aż 160 EGP. Mieliśmy za to darmowy Internet, oraz skromne śniadanie. Nazajutrz wybraliśmy się na dworzec kolejowy, żeby dokonać zakupu biletów na nocny pociąg do Luksoru. Niby banalna i prosta sprawa, a jednak da się ją skomplikować. W miejscu gdzie jak wół stało *Sleepers ticket Office* nie sprzedano nam biletów, gdyż jak stwierdzono nastąpiły problemy techniczne z komputerami.





Piramidy w Gizie

Wysłano nas więc do innego biura mieszczącego się z drugiej strony dworca, które jak się okazało nie posiadało ani jednego komputera, miało za to telefon!!! Biletów kasjer wypisywał ręcznie uprzednio dzwoniąc gdzieś (idę o zakład, że do biura z komputerami, w którym byliśmy wcześniej). Niestety numer, na który dzwonił kasjer był najczęściej zajęty, więc cała procedura trwała w nieskończoność. Bilety (2x60 USD płatne w dolarach bądź euro) w końcu kupiliśmy dopiero po 2 godzinach, mimo iż przed nami w kolejce były tylko 2 osoby!!! Z dworca udaliśmy się pod Hotel Hilton, w okolicach, którego stają miejskie autobusy do Gizy (bilet 2EGP). Znajdują się tam też 2 dworce autobusowe, z których to myśleliśmy, że odchodzą wspomniane autobusy. Jak się jednak okazało autobus nr 357 do Gizy do żadnego z tych dworców nie wjeżdżał, a jedynie zatrzymywał się w pobliżu w zupełnie nieoznaczonym miejscu, na znalezienie którego straciliśmy kolejną godzinę. W międzyczasie rozpadało się jeszcze, więc mokrzy i lekko skołowani wyruszyliśmy w końcu na spotkanie z piramidami. Po mniej więcej godzinie jazdy dojechaliśmy do Gizy, gdzie za radą poznanego w autobusie autochtona przesiedliśmy się do mikrobusu, którym to przejechaliśmy jeszcze około 2 km w kierunku wschodnim. Tutaj skierowano nas do agencji, która organizowała wycieczki na wielbłądach, w której to wykupiliśmy 3 godzinną przejażdżkę wraz ze zwiedzaniem piramid. O kosztach tego typu przyjemności nie będę się rozpisywał, dodam tylko, że były one niemałe.



Sfinks

Wreszcie sadowimy się wygodnie(?) na tych sympatycznych zwierzętach, które prycając i charcząc okazują swoje niezadowolenie z przerwanej sjeisty. Jednak ostra reprimenda i kij poganiacza sprawiają, że posłusznie ruszają w kierunku piaszczystych wydm. Po około 15 minutach wreszcie naszym oczom ukazały się piramidy; z prawej najwyższa 147 metrowa Piramida Cheopsa, tuż obok o 10 metrów



niższa Chefrena, dużo niższa, bo tylko 65 metrowa Mykerinosa i pozostałych kilka dużo, dużo mniejszych. Z wzniesienia, na które wjechaliśmy budowle wyglądały naprawdę wspaniale. Po wykonaniu mnóstwa zdjęć, zjechaliśmy w dół, gdzie zostawiliśmy wielbłądy i poszliśmy zwiedzać same piramidy. Od tego momentu towarzyszyła nam grupka natrętnych arabsów, próbujących wcisnąć nam przeróżnej maści *shit for tourist*. Ich upierdliwość i nachalność przechodziła wszelkie możliwe wyobrażenia. Zepsuli nam cały urok tego miejsca i przyjemność zwiedzania. Dlatego też dużo szybciej niż zamierzaliśmy zwiedzamy piramidy, grobowce i posąg Sfinksa. Co ciekawe do każdego z tych miejsc obowiązuje osobny bilet, który w naszym przypadku był wliczony w koszt wielbłądowej wycieczki. Na koniec obowiązkowo musimy wręczyć napiwki przewodnikowi i poganiaczowi, po czym równo z zachodem słońca, tym samym miejskim autobusem linii 357 wracamy do Kairu. W hotelu odbieramy z depozytu nasze plecaki, po czym udajemy się do metra (bilet 1,35 EGP) ([plan metra](#)), którym dojeżdżamy do dworca kolejowego w... Gizie.



Asiula, wielbłąd i piramidy

W pociągu w wyniku jakiegoś zamieszania, bądź zmian, których nawet nie staramy się zrozumieć dostajemy przydział do innego wagonu niż widnieje na bilecie. Musimy przejść z plecakami dwa razy cały pociąg, by wreszcie znaleźć się w swoim przedziale, w którym steward w głębokich ukłonach przeprosza nas za całe zamieszanie. Dostajemy czystą pościel oraz naprawdę smaczną i pożywną kolację. Dwuosobowe czyste przedziały z łazienką zupełnie odbiegają od sypialnych pociągów, które dane było mi do tej pory oglądać. Całonocna podróż w wygodnych łóżkach mija nam szybko, tak, że wypoczęci i w dobrych humorach wczesnym rankiem lądujemy na dworcu w Luksorze. Stąd 15 minutowy spacer i jesteśmy w Hotelu Fontana (60 EGP za dwójkę). Szybka zmiana ciuchów i juS siedzimy w mikrobusie, którym pojedziemy zwiedzać atrakcje znajdujące się po drugiej stronie Nilu. Wycieczkę załatwiliśmy meldując się w naszym hotelu, a początkową cenę 450 EGP za osobę zbiliśmy do 250 EGP wraz z wejściówkami. Najlepsze było stwierdzenie kierownika hotelu: tylko nie mówcie nikomu, że tak tanio, bo i tak wam nie uwierzą...



Lukсор – Hurgada – Sharm el Sheikh – Dahab – Mt. Synaj – Taba

Zwiedzanie zaczynamy od 20 metrowych Kolosów Memnona, potem udajemy się do wspaniałej świątyni Hatszepsut. Tutaj zatrzymujemy się na dłużej podziwiając liczne posągi i obeliski oraz reliefy i malowidła. Ze świątyni przenosimy się do Doliny Królów, gdzie znajdują się bogato zdobione, wykute w skale liczne korytarze i sale, czyli grobowce największych władców Egiptu. W sumie odkryto tutaj 63 grobowce, oraz 20, których budowy nie ukończono. Niestety wszystkie grobowce, poza jednym Tutanchamona, zostały na przestrzeni wielu lat dokładnie splądrowane. To, co udało się zachować obecnie znajduje się w Muzeum Egipskim w Kairze. Na południe od Doliny Królów znajduje się kolejna nekropolia, w której pochowano żony królów Egiptu i niektórych książąt, w tym najpiękniejszy i najbardziej znany grobowiec królowej Nefertari żony Ramzesa II.



świątynia Hatszepsut

Wracając zatrzymujemy się jeszcze w jednej z licznych manufaktur z alabastrem. Nawet nie sprawdzamy ile co kosztuje, zresztą i tak nie ma tutaj niczego, co by nas skusiło do zakupu. Udaje nam się tym razem wymigać od napiwku szybko opuszczając busika i znikając w naszym hotelu. Bierzymy prysznic i idziemy na całkiem smaczny obiad (10 EGP) do jednej z licznych knajpek, po czym przez bazar udajemy się na spacer do położonej nad samym Nilem świątyni Amona-Ra. Jednak z uwagi na dość późną porę i drogi bilet wstępu (50 EGP) postanawiamy zobaczyć ją z zewnątrz, co jak się okazuje jest jak najbardziej słuszną decyzją - od strony rzeki widok na cały kompleks jest naprawdę doskonały.

Z atrakcji Luksoru nie starcza nam już czasu na zwiedzenie Karnaku, gdyż nazajutrz musimy jechać do Hurgady, skąd mamy zamiar płynąć statkiem do Sharm er Sheik.

Rano zgodnie z planem taksówką za 30 EGP jedziemy na dworzec autobusowy i ruszamy w 4 godzinną podróż do Hurgady (bilet 30 EGP). Po drodze mamy kilka kontroli policyjnych, wszystko to za sprawą zamachów terrorystycznych, które na przestrzeni kilku ostatnich lat miały miejsce w Kairze, Asuanie, Gizie, Luksorze, Dahab, Sharm er Sheik, czy Tabaie.





świątynia Amona-Ra w Luksorze

Na dworcu w Hurgadzie dajemy się namówić na nocleg w Hotelu Sea Waves (40 EGP za dwójkę), do którego za 10 EGP jedziemy taksówką. Załatwiamy też bilety na *speed boat* do Sharm er Sheik (250 EGP/osobę). Jako że przed nami całe popołudnie, to starcza nam czasu i na smażenie się na mało ciekawej plaży (płatnej 10 EGP od osoby), obiad w dość wyszukanej restauracji, sziszę w knajpie z lokalsami i mecz grupowy Egiptu w pucharze Narodów Afryki. Co ciekawe mimo, iż w Hurgadzie jest dość sporo białasów z całego świata, nikt oprócz nas nie ogląda pojedynku Egiptu z Mali. A jest co oglądać, bo oprócz emocji sportowych, można poobserwować żywo reagujących Egipcjan. Po meczu (oczywiście wygranym przez Egipt) udajemy się do jednej z licznych knajp na piwo. Wybór trunków jest raczej dość marny, za to ceny wzięte z sufitu. A ponieważ nazajutrz czeka nas poranny rejs i wczesna pobudka, to szybko kończymy imprezę i wracamy do hotelu. Noc niestety nie należy do spokojnych, gdyż zewsząd atakują nas dosłownie chmary wygłodniałych komarów. Ach, jakże by się przydała pozostawiona w domu moskitiera...



Dahab

Rano, niewyspani, w dość kiepskich humorach zjawiamy się w porcie. Tutaj przechodzimy dość dokładną kontrolę, łącznie z prześwietlaniem bagażu, po czym lokujemy się na małym stateczku, dokładnie takim samym, jakim płynęliśmy w Iranie z wyspy Kish. Według armatora powinniśmy płynąć 1,5h, w rzeczywistości jednak płyniemy 2 razy dłużej. W porcie czekają już na nas taksówki, które żądają za kurs jakichś absurdalnych cen, jednak tuż za portem wraz z poznaną ukraińską parą umawiamy się z taksówkarzem na kurs do Dahab za 220 EGP. Po 40 minutach jazdy wysiadamy przed główną promenadą bardzo sympatycznego i klimatycznego miasteczka, w którym zostajemy aż 4 dni. Z pośród bardzo bogatej oferty noclegowej wybieramy porządny Alaska Camp w cenie 100 EGP za pokój z łazienką i klimatyzacją.



Kolejne dni upływają nam na totalnej sielance, codziennie snurkujemy na wspaniałej rafie koralowej, obżeramy się w wykwintnych restauracjach, oglądamy z tubylcami mecze pucharu Afryki i wylegujemy się na słońcu. W międzyczasie dochodzą do nas wiadomości z kraju o tęgich 20 stopniowych mrozach. Pozostaje nam zatem tylko cieszyć się z tego, że udało nam się oszukać srogą zimę. Czy aby na pewno?



Widok z Mt. Synaj

W przedostatni dzień pobytu w Dahab wybieramy się na nocny trekking na Mt. Synaj (2285 mnpm). Nocny, gdyż jak wieść niesie góra ta słynie z niezapomnianych wschodów słońca. O godzinie 23:00 ubrani we wszystkie możliwe zimowe ciuchy wyjeżdżamy z Dahab i 2 godziny później jesteśmy w Świętej Katarzynie (wstęp 17 EGP). Tutaj połączeni w większą grupę dostajemy beduińskiego przewodnika i zaczynamy dość mozolne dwu i półgodzinne wejście na szczyt. Z każdą minutą robi się coraz zimniej, gęstnieje też tłum turystów - głównie Rosjan. Wschód słońca planowany jest na około 6 rano, tymczasem my jesteśmy na szczycie już o godzinie 3!!! Postanawiamy przeczekać pod szczytem, w jednym z namiotów beduinów, którzy oferują za kosmiczne pieniądze gorące napoje i koce. Przy okazji mamy możliwość poobserwowania całej rzeszy przypadkowych turystów z całego świata, których biura podróży zapędziły do tej arcy atrakcyjnej wycieczki. Pierwszorzędny ubaw. Wreszcie nadchodzi pora wschodu słońca, o której można napisać krótko i dosadnie: wzeszło. Robimy kilka zdjęć i schodzimy w dół. Wrażenia z Mt. Synaj? Dzikie, wrzeszczące tłumy ludzi, sterty śmieci, straszna komercja, potworny przenikający chłód i nie wiedzieć czemu 3 godzinne koczowanie na szczycie (zapewne po to, żeby dać zarobić tutejszym kramikom). Jak dla mnie jedna z najbardziej nietrafionych wycieczek jakie doświadczyłem w życiu. Okolica owszem bardzo ładna, a same góry malownicze i na pewno warto wejść na szczyt tylko, że ciągu dnia, gdy jest o wiele cieplej i nie ma tych całych tłumów. Nocne wejście to kompletne nieporozumienie.





Św. Katarzyna

Jako jedni z pierwszych docieramy do klasztoru w Świętej Katarzynie i w tutejszym *cofee shapie* pijąc pyszną kawę powoli odtajamy. Stopniowo docierają zorganizowane grupy turystów - wszyscy przemarnięci do szpiku kości. W międzyczasie otwierają klasztor, w którym tak naprawdę niewiele jest do zwiedzania. O godzinie 10 w końcu opuszczamy góry i wracamy do Dahab, gdzie długo jeszcze dochodzimy do siebie po nocnej eskapadzie. Na drugi dzień opuszczamy Dahab porannym autobusem (30 EGP/osobę) jedziemy do Taby - granicznej miejscowości z Izraelem. Mimo iż to tylko 120km odcinek ten pokonujemy w 3,5 godziny, a wszystko za sprawą licznych i drobiazgowych kontroli. Wreszcie docieramy do granicy.

Eliat – Jerozolima – Ein Gedi – Betlejem – Tel Awiw – Frankfurt/Menem – Katowice

Odprawa po stronie Egipskiej idzie gładko i szybko, kupujemy znaczki wyjazdowe za 2 EGP każdy i kierujemy się w stronę izraelską. Tutaj najpierw przechodzimy krótką rozmowę z oficerem, potem prześwietlamy wszystkie bagaże i udajemy się do kolejnego oficera na kolejną rozmowę. Podczas przeglądania mojego paszportu znajduje on wizę irańską, w związku z czym kieruje mnie do jeszcze innego oficera emigracyjnego na przesłuchanie. Co ciekawe taką samą wizę miała Asia, jednak szczęśliwym trafem umknęła ich uwadze. Mnie natomiast po godzinnym przesłuchaniu i zadaniu mnóstwa dziwacznych pytań w końcu wypuszczono i pozwolono wjechać do Izraela. Z granicy wraz z dwoma przygodnie poznanymi Koreańczykami jedziemy taksówką (25 USD) do centrum miasta oddalonego od przejścia granicznego o ok. 8 km. Tutaj po dość słabym kursie wymieniamy 200 USD i kupujemy bilety na ostatni autobus do Jerozolimy (76 szekli/osobę).





Wodospad Dawida w Ein Gedi

Ponieważ do odjazdu mamy jeszcze całą godzinę rozglądam się po najbliższej okolicy. Pierwsze, co rzuca się w oczy to niezwykle młodzi ludzie w mundurach z przewieszonymi przez ramię karabinami. W Izraelu służba wojskowa jest obowiązkowa, rozpoczyna się w wieku 18 lat; mężczyźni powoływani są na 3 lata, a kobiety na 2 lata. Jedynie ortodoksyjni Żydzi studiujący w szkołach religijnych jesziwach, są zwolnieni ze służby w armii.

Po krótkim spacerze po Eliacie wracam na dworzec, na którym spotykam dwójkę Polaków, z którymi jak się okazuje pojedziemy do Jerozolimy. Podróż wygodnym autobusem mija dość szybko, tak, że po 4 godzinach jesteśmy na miejscu. Stąd, oczywiście po obowiązkowych prześwietleniach bagażu, 20 minutowym spacerkiem udajemy się w okolice starego miasta, a konkretnie *Damascus Gate* gdzie zatrzymujemy się w Hotelu Palms (po targowaniu dormitorium 40 szekli/osobę). Nazajutrz udajemy się z powrotem do centrum na dworzec autobusowy, skąd odjeżdżamy do Ein Gedi (bilet w 2 strony 63 szekle). Przyjechaliśmy tutaj z dwóch powodów: po pierwsze Morze Martwe, po drugie rezerwat przyrody. Zaczynamy od tego drugiego, uiszczając uprzednio opłatę za wejście na teren parku w wysokości 25 szekli. Ścieżka, którą idziemy pnie się w górę, dookoła rosną palmy, śpiewają ptaki i biegają antylopy. Po około 20 minutach dochodzimy do wodospadu Dawida. Błękitna woda, która spływa z góry doskonale kontrastuje z żółtymi skałami, w których gnieźdzą się ptaki. Wszystko to tworzy bardzo malowniczy widok.





góralczyk syryjski

My tymczasem kierujemy się w górę stromą ścieżką, miejscami ubezpieczoną poręczówkami. Mijamy wspaniały most skalny i schodzimy do źródła, które tworzy małe oczko wodne. Tutaj spotykamy góralca syryjskiego, zwierzę podobnego do naszego świstaka. Jest on oswojony do tego stopnia, że podchodzi na wyciągnięcie ręki, węsząc nosem w poszukiwaniu jedzenia. Wdzięcznie też pozuje do zdjęć, czym sprawia nam ogromną uciechę. Od tego miejsca zaczynamy 40 minutowe zejście do Morza Martwego. Tutaj kierujemy się na kamienistą plażę i mimo powiewającej czerwonej flagi wchodzimy do niesamowicie słonej wody. Niestety tego dnia wieje bardzo silny, zimny wiatr, który powoduje, że morze jest niezwykle wzburzone. Ogromne fale bardzo przeszkadzają w pływaniu, trzeba przy tym strasznie uważać, żeby woda nie dostała się do oczu. Dlatego też szybko kończymy kąpiel, bierzemy prysznic i wracamy do Jerozolimy. Wieczorem udajemy się na zwiedzanie starego miasta. Labirynt ciasnych i gęsto zabudowanych uliczek nieco utrudnia orientację, choć raczej trudno się tutaj zgubić. Wreszcie dochodzimy do ściany płaczu, najświętszego miejsca judaizmu. Obowiązkowo przechodzimy kontrolę, a nasze małe plecaki zostają prześwietlone.



ściana płaczu

Jak na czwartkowy, chłodny wieczór dość sporo Żydów modli się przy ścianie. Niesamowicie wyglądają karteczki z prośbami do Boga, które wciśnięte są w niemal każdą możliwą szparę w murze. Ściana Płaczu, zwana też Murem Zachodnim, to jedyna zachowana do dziś pozostałość Świątyni Jerozolimskiej, tzw. muru herodiańskiego, a jej nazwa pochodzi od żydowskiego święta opłakiwania zburzenia świątyni przez Rzymian, obchodzonego corocznie w sierpniu. Kręcimy się czas jakiś



jeszcze po starówce, po czym wracamy do hotelu na spoczynek. W czwartkowy poranek udajemy się busikiem (4,5 szekli) wprost z naszego hotelu do Betlejem. A dokładnie do *check pointu*, przez który trzeba przejść, aby dostać się do autonomii palestyńskiej. Po tradycyjnym już prześwietleniu bagaży i zerknięciu w paszporty przechodzimy przez wysoki mur i taksówką za 20 szekli wraz z poznana parą Polaków udajemy się pod Bazylikę Narodzenia Pańskiego. Tutaj blisko 2 godziny zwiedzamy najstarszą chrześcijańską świątynię, wybudowaną ponad grota, uważaną za miejsce narodzin Jezusa.



mur od strony palestyńskiej

Wydawać by się mogło, że miejsce to powinno kipieć złotem i przepychem, a tymczasem przyjemne zaskoczenie - jest tu bardzo skromnie. Obok bazyliki w przyległym kościele Św. Katarzyny swoją uwagę przykuwa rzeźba św. Jerzego zabijającego smoka oraz bardzo ładna droga krzyżowa. Mocno przesiąknięci duchowymi uniesieniami udajemy się na bazar, gdzie kupujemy kilka drobiazków, głównie do jedzenia. Wreszcie spacerkiem podziwiając fantastyczne graffiti na murze wracamy do *check pointu*, skąd minibusem wracamy pod *Damaskus Gate*. Wieczorem znowu zapuszczamy się w gąszcz uliczek starego miasta oraz odwiedzamy kilka centrów handlowych w pobliżu *Jaffa Gate*. Nazajutrz wstajemy dość wcześnie i autobusem miejskim nr 18 (bilet 6,20 szekli) jedziemy do Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem. Główna ekspozycja pokazująca życie i zagładę narodu żydowskiego umieszczona została w niezwykle ciekawym pod względem architektonicznym budynku. Tworzą go dwie długie na 180 m płaszczyzny w kształcie odwróconego klina wcinającego się na głębokość kilkunastu metrów w skalne wzgórze. Zwiedzając poszczególne odnogi głównego korytarza, w którym cały czas panuje półmrok dochodzimy do miejsca, w którym płaszczyzny rozchylają się, a nas zalewa potok światła. Znajdujemy się na tarasie z widokiem na wzgórze otaczające muzeum. To przejście z mroku w światło jest po prostu niesamowite.





wagon w muzeum Yad Vashem

Zresztą nie tylko to, bo obok, w budynku mauzoleum, upamiętniającym 1,5 mln zamordowanych dzieci żydowskich, znowu zaskoczenie. System luster odbijający tysiącami odbić płomień kilkunastu świec i głos narratora odczytujący imiona, nazwiska, wiek i kraj pochodzenia małych ofiar nazistów wbijają dosłownie w ziemię. Tych symboli jest tu cała masa, choćby wagon bydlęcy, którym wożono więźniów do obozów koncentracyjnych, stojący na skraju przepaści czy drzewa upamiętniające Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata czyli tych, którzy narażając własne życie ratowali Żydów w czasie Holokaustu. Cały kompleks, mimo iż pokazujący tak bolesną i okrutną historię, jest bez wątplenia wart odwiedzenia i moim zdaniem jest jednym z najciekawszych i najbardziej profesjonalnych muzeów, jakie miałem możliwość oglądać. 3 godziny zwiedzaliśmy Instytut Yad Vashem i było to absolutne minimum, niestety z racji tego, że był to piątek, a więc początek szabasu, muzeum zamykano tego dnia wcześniej niż w pozostałe dni.



ściana płaczu

W sobotę niejako uziemieni przez szabas (nie działa transport publiczny) udajemy się na długi spacer po Jerozolimie. Zaczynamy od starego miasta, z którego kierujemy się na Wzgórze Oliwne, podziwiać wspaniałą panoramę miasta, by w końcu przez najstarszą część Jerozolimy - Miasto Dawida, wrócić do hotelu. W ostatnim dniu pobytu w Jerozolimie udajemy się wcześnie rano na Wzgórze Świątynne zobaczyć Złotą Kopułę, czyli meczet Omara. Niestety, meczetu nie można zwiedzać w środku, a wejście na samo wzgórze jest mocno ograniczone dla turystów, można tu przebywać tylko w określone dni o wyznaczonych godzinach. Po obfotografowaniu Złotej Kopuły wracamy do hotelu, skąd zabieramy nasze plecaki i ruszamy na dworzec autobusowy, z którego pierwszym możliwym autobusem (32,5 szekli)



jedziemy wygodną autostradą do Tel Awiwu. Z dworca udajemy się na piechotę do Hostelu Murgraby. Niestety za nocleg ze śniadaniem w dosyć obskurnym dormitorium każdy z nas musi zapłacić aż 72 szekle. Na naszą korzyść przemawia darmowe Wi-Fi i bardzo dobra lokalizacja - mamy blisko zarówno do centrum, jak i na plażę, na którą zresztą zaraz się udajemy. Mając w pamięci kamieniste arabskie plaże doznajemy miłego zaskoczenia - naszym oczom ukazuje się piękna piaszczysta plaża, a samo morze okazuje się niezwykle ciepłe.



złota kopuła

Przed nami bezmiar Morza Śródziemnego, za nami wysokie budynki ekskluzywnych hoteli. Wieczorem próbujemy się wbić do jakiejś knajpy na finał Pucharu Afryki, niestety nikt nigdzie nie ogląda zwycięstwa Egiptu nad Ghaną. Szkoda, gdyż od początku kibicowaliśmy faraonom i bardzo chcieliśmy zobaczyć ten finał. Następnego dnia po połowie dzielimy na pływanie i opalanie oraz spacer po mieście. Zaczynamy od Bulwaru Rotshchilda, gdzie znajdują się pomniki założycieli Tel Awiwu oraz pomnik pierwszego burmistrza miasta - Dizengoffa, następnie oglądamy budynek do złudzenia przypominający znane budowle Gaudiego w Barcelonie, nieczynną fontannę Ognia i Wody, a w pierwszym izraelskim drapaczu chmur wyjeżdżamy windą na ostatnie piętro by podziwiać wspaniałą panoramę miasta. I tak mijają nam te stosunkowo krótkie wakacje... Nazajutrz dość wcześnie opuszczamy hotel, najpierw busem nr 16 (6 szekli) na dworzec Ha Hagana, skąd pociągiem za 14 szekli jedziemy jedną stacją na lotnisko Ben Gurion. Tutaj poddani zostajemy niezwykle skrupulatnej kontroli, oraz przesłuchani przez oficera, który zadaje masę dziwnych pytań.



Tel Awiw z lotu ptaka

Co ciekawe po prześwietleniu bagaży przesłuchujący nas oficer ma listę wszystkich rzeczy, które przewozimy i bez otwierania plecaków potrafi



spytać o słoik miodu, pumeksy czy sól z Morza Martwego. Na szczęście przechodzimy gładko tę kontrolę i w promieniach zachodzącego słońca wylatujemy z Izraela. Niestety dalej nie idzie już tak łatwo, z powodu mgły i śniegu mamy w sumie 1,5 godzinne opóźnienie, zarówno we Frankfurcie jak i w Pyrzowicach. I tak, wypoczęci i opaleni, znów wracamy do naszej wyjątkowo w tym roku srogiej zimy...

Na koniec kilka rad i sprawdzonych patentów:

- Do obu z opisywanych krajów można zabrać zarówno euro, jak i dolary.
- Po przylocie do Izraela najlepiej ograniczyć do minimum wymianę pieniędzy na lotnisku, gdyż kurs jest tutaj najniższy, a przy tym pobierana jest wysoka prowizja. Dość słaby kurs był też w Eliacie. W Egipcie jest natomiast na odwrót - najlepszy kurs (bez prowizji) był na lotnisku w Kairze.
- O ile to możliwe nie planować ani przylotu, ani wylotu z Izraela od piątkowego do sobotniego wieczora, gdyż z racji szabasu będziemy skazani na bardzo drogie taksówki (nie działa komunikacja publiczna).
- Wizę egipską można dostać na lotnisku w Kairze w cenie 15 USD. Do Izraela obywatele RP nie potrzebują wiz. Mimo, iż w swoim paszporcie miałem wizę irańską to zostałem wpuszczony do Izraela, niestety poddany byłem dość żmudnemu przesłuchaniu na granicy.
- Należy mieć na uwadze, że izraelski stempel graniczny w paszporcie zamyka wjazd do takich krajów jak Syria, Liban, Iran, Jemen oraz kilku innych krajów arabskich.
- Na miejscu korzystaliśmy z nieco zdezaktualizowanych pod względem cenowym przewodników LP *Egipt* oraz *Israel and the Palestinian Territories*.
- Niestety oba te kraje są dość drogie, a Izrael bardzo drogi. W Egipcie arabowie potrafią zawyżać ceny kilkakrotnie, do tego stopnia, że należy targować się nawet w restauracjach. Przyjęło się dawanie napiwków za wszelkiego rodzaju usługi.
- Z Jerozolimy warto zrobić *base camp*, z uwagi na najtańsze noclegi oraz dobre skomunikowanie centralnie położonego miasta z resztą kraju.
- Oba kraje są w moim przekonaniu bezpieczne, choć należy pamiętać o zagrożeniu potencjalnymi zamachami terrorystycznymi.
- W Izraelu wejście do wszelkiego rodzaju budynków użyteczności publicznej, a nawet większych sklepów wiąże się z prześwietleniem, bądź przeszukaniem bagaży.
- Zarówno w Egipcie, jak i Izraelu bez problemu można się porozumieć po angielsku i rosyjsku.

